



Eugeniusz Hrywniak

1918-2014

Absolwent Szkoły Morskiej w Southampton z 1941 roku; uczeń na „Darze Pomorza” w ostatnim przedwojennym rejsie żaglowca, ochotnik w polskim wojsku we Francji, uczestnik konwojów, oficer pokładowy na s/s „Kościuszko”, przedsiębiorca w RPA.

Urodził się 6 marca 1918 r. w Błyszczowodach, powiat Żółkiew (rodzice Franciszek i Rozalia). W 1937 r. został uczniem Wydziału Nawigacyjnego PSM w Gdyni. W sierpniu 1939 r. zaokrętowany na „Dar Pomorza” – wyruszył w rejs, z którego już do kraju nie wrócił.

Pod koniec sierpnia komendant fregaty kpt. ż.w. Konstanty Kowalski (abs. WN z 1927) otrzymał radiową drogą rozkaz: KONSTANTY. ZAWIŃ DO NAJBLIŻSZEGO PORTU SZWEDZKIEGO. CZEKAJ NA SYGNAŁ. 27 sierpnia 1939 r. żaglowiec stanął na reddie Oxelösundu, a 1 września radio podało wiadomość o napaści Niemiec na Polskę. Wojna!

Po trzech tygodniach nieustannego napięcia 21 września nadszedł list z Poselstwa RP w Sztokholmie, polecający następnego dnia wyokrętować wszystkich i ewakuować załogę oraz uczniów do Wielkiej Brytanii.

Wspominał: „Byliśmy w drodze trzy dni i już w pobliżu wybrzeży Szkocji niemieckie samoloty zaatakowały nasz konwój. Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, co to znaczy wojna, więc nie bacząc na grożące nam niebezpieczeństwo, wybiegliśmy na pokład, aby podziwiać ten pierwszy prawdziwy nalot.

[...] Walka wkrótce się skończyła, niemieckie samoloty odleciały, a my podążyliśmy w dalszą drogę do Anglii. Wkrótce zawiniliśmy do Methil, a następnie pociągiem dostaliśmy się do Plymouth. Tam była nasza baza na czas pobytu w Anglii.

Stary «pasażer» s/s Kościuszko, który miał szczęście uciec z Gdyni tuż przed wojną, był teraz używany jako baza dla wszystkich tych, którym się udało przedostać różnymi drogami do Anglii. Większość uczniów Szkoły Morskiej dostała przydział jako marynarze na różnych statkach, część wstąpiła do Marynarki Wojennej, a mała grupa, około 30 osób, najbardziej wojowniczych, którzy aż palili się, żeby Niemcom wygarbować skórę,

zapisala się do Armii Polskiej, tworzącej się we Francji”¹.

„Wkrótce po przeprawie do Wielkiej Brytanii wraz z kilkunastoma kolegami wstąpił ochotniczo do polskiego wojska tworzącego się jesienią 1939 roku we Francji. Popularnie nazywany Gena – nie tylko wśród kolegów i przyjaciół. Gdy po wojnie osiadł w Namibii, tamtejsi ciemnoskórzy mieszkańcy również zwracali się do niego «Mister Gena»”² – wspominał kolega Bolesław Pogorzelski.

„Po wylądowaniu we Francji 12 stycznia 1940 roku wstąpiłem oficjalnie do wojska w randze kanoniera z cenzusem. Przydzielono nas do starej bazy wojskowej w Coëtquidan, pamiętającej jeszcze czasy pierwszej wojny światowej. [...] Po sześciu tygodniach treningu w broni przeciwlotniczej i na działach przeciwpancernych zostaliśmy przydzieleni do obrony portu St. Nazaire. Wielu naszych już przeszkolonych żołnierzy i duża część żołnierzy zawodowych z braku oficjalnego przydziału została skierowana do wiosennych prac u farmerów. Zaś nasza trójka: [Józef] Wojciechowski, Tadek Sieja i ja, znaleźliśmy pracę w kamieniołomach”³.



Anglia, rok 1940, młodzi rekruci składają przysięgę; drugi od lewej Gena Hrywniak (fot. z książki B. Pogorzelskiego), op. cit., s. 24

PIEKŁO DUNKIERKI



fot. domena publiczna



fot. domena publiczna

Pewnego dnia wyjechali na kilkudniowy urlop do krewnych Tadeusza Siei, a w tym czasie zmotoryzowana dywizja niemiecka odcięła cały ten obszar od reszty kraju.

Dołączyli wtedy, nie namyślając się, do stacjonującego niedaleko pułku. „Podczas następnego dnia nasz pułk stoczył kilka potyczek z Niemcami, ale pomimo olbrzymiego poświęcenia i dużych strat, nie udało mu się przerwać kordonu. [...]”

Maszerując jednego dnia, tuż pod wieczór, zauważyliśmy niemiecką jednostkę wozów opancerzonych, starających się przekroczyć linię kolejową i częściowo zniszczony most, na drugą stronę rzeczki. Nasz pułk i plutony lekkiej kawalerii, które także wcześniej do nas dołączyły, otworzyły ogień. Dla naszej trójki było to właściwie pierwsze prawdziwe spotkanie z nieprzyjacielem na tak małą odległość. Nie bardzo zdając sobie jeszcze sprawę z okropności wojny, cieszyliśmy się jak dzieci, prując do Niemców, ile się tylko dało. [...] Tadek, świetny strzelec, aby nie marnować amunicji, której wtedy mieliśmy jakoś mało, wrzeszczał jak opętany: – Gena, ja biorę pierwszego, ty drugiego! Nie dajmy tym sukinsynom teraz uciec! Niestety, wkrótce przybyło jeszcze więcej niemieckich aut i bitwa przybrała na sile. Jakoż z Bożą pomocą udało nam się wyjść z tego starcia bez szwanku⁴.

Maszerowali z pułkiem na północ, ale wkrótce okazało się, że powraca on do bazy. Wobec tego podjęli decyzję o odłączeniu się i szukaniu innej, kierującej się na północ Francji, jednostki. Dotarli do Dunkierki – i mieli się stawić w bazie wojskowej Caseme Jean Barthe.

„W miarę upływu czasu nasilały się wiadomości o niemieckich sukcesach i o nieudanych próbach aliantów zorganizowania jakiejś silniejszej obrony. Francuzi i Anglicy ponosili coraz większe straty, co nie wróżyło wesołej przyszłości. Powoli dochodziliśmy do przekonania, że pozostając w bazie, wylądujemy w końcu w niemieckiej niewoli. Musieliśmy więc jak najszybciej wydostać się z tej pułapki⁵.”

Ucieczka udała się i w tłumach innych żołnierzy kierowali się do plaży, gdzie niemieckie samoloty atakowały ich zawzięcie. Tak po latach wspominał chwile ewakuacji z Dunkierki: „W czasie, gdy doszliśmy do

plaży, ewakuacja żołnierzy była już w toku. Kutry rybackie podchodziły do prawie całkowicie zniszczonych kei, zabierając chorych i rannych. [...]”

Szybko włączyliśmy się do pomocy [...]. Już od świtu pomagaliśmy rannym dostać się do kutrów. Gdy tylko te odpływały, ładowaliśmy innych chorych i mniej zdolnych do poruszania się. [...] Niosąc razem z Tadkiem rannych żołnierzy wzdłuż kei, długiej na około 80 metrów, często musieliśmy zatrzymać się podczas nalotów. Ci biedni ranni patrzyli wtedy na nas ze strachem w oczach i kurczowo trzymając się naszych mundurów, błagali nas, żeby ich nie opuścić. Pewnego razu w czasie nalotu zobaczyłem, jak Józek niósł «na barana» rannego żołnierza w mocno zakrwawionym mundurze. Widać było cierpienie na jego twarzy, ale żołnierz ten nawet nie jęknął, tak bardzo chciał jak najszybciej znaleźć się na pokładzie łodzi.

Pewnego wieczoru, podczas przerwy, kilku Anglików z naszej grupy poczęstowało nas swoimi racjami. Inni dali swoje papierosy – byliśmy tym naprawdę wzruszeni. Nasza znajomość angielskiego była zupełnie znikoma, więc z trudem udało nam się opowiedzieć im, jak zgubiliśmy się w tym zamęcie i jak myśleliśmy, aby wydostać się z Francji do Anglii.

Anglicy z miejsca postanowili nam pomóc. Szybko przynieśli nam angielskie mundury, które choć stare, jakoś jednak na nas pasowały. Podczas ciemnej nocy ewakuacja znacznie się nasiliła. Kutry bezustannie przybijały do zniszczonej kei i zabierały setki rannych i chorych. Zdrowi zaś nadal brnęli w wodzie do oczekujących na nich łodzi.

Rano naloty znów wzrosły – bombowce z wysokiego pułapu zrzucały setki bomb, siejąc zniszczenie i śmierć, zaś Sztukasy w dalszym ciągu coraz silniej atakowały ewakuowanych. Na plażach i wśród piaszczystych wydm coraz więcej było rannych i zabitych. [...]”

Dzielni skiperowie kutrów wykorzystywali każdą, nawet najkrótszą chwilę ciszy, aby podejść do kei i ładować rannych. Pewnego razu, właśnie w czasie przerwy w bombardowaniu, we trójkę z kilkoma Anglikami pomagaliśmy grupie ciężko rannych żołnierzy dostać się na kuter i zejść pod pokład. Prawie kończyliśmy już tę pracę, kiedy wycie

syren ogłosiło następny nalot. Skiper kutra w obawie przed zbombardowaniem natychmiast odbił od lądu. Zanim zorientowaliśmy się, już byliśmy w znacznej odległości od brzegu. Nie mieliśmy szans na powrót i w ten zupełnie nieoczekiwany sposób, z rannymi i z grupą Anglików, z którymi pracowaliśmy już od dwóch dni, znaleźliśmy się w drodze do Anglii⁶.

Do Dover dotarli 28 maja, zaraz potem zostali zatrzymani i osadzeni w wojskowym więzieniu w Southampton. Tam obcięto im włosy, przebrano w pasiaki i osadzono w pojedynczych celach, a przesłuchaniom nie było końca. „[...] byliśmy coraz bardziej zmęczeni, rozczarowani, a nawet źli i zawiedzeni takim traktowaniem. Nie mogliśmy się pogodzić z tym, że po tylu poświęceniach, pomocy i pracy przy ewakuacji rannych i chorych żołnierzy angielskich, a zwłaszcza bezgranicznej wiary w przyrzeczenia Anglików spotkanych w piaskach Dunkierki, z którymi razem pracowaliśmy, władze w dalszym ciągu traktowały nas tak bardzo podejrzliwie⁷.”

Poprosili o urzędnika z konsulatu. Zjawił się przysłany z Londynu oficer z Biura Marynarki Handlowej. „Byliśmy zupełnie zaskoczeni, kiedy do sali przesłuchań wszedł ten sam oficer, który w bazie w Plymouth, tuż przed naszym zapisaniem się do armii, przestrzegał nas przed tym głupim krokiem i żegnał nas w czasie naszego odjazdu. Z początku nie poznał nas. Minęło przecież pół roku, kiedy to pełni animuszu i w pięknych mundurach marynarskich, rzekaliśmy się pracy na statkach, wybierając służbę w piechocie. Teraz zmęczeni, w więziennych pasiakach, wyglądaliśmy na pewno nieciekawie. Kiedy więc wreszcie nas poznał, podszedł do nas i krzyknął: – Och, macie już na pewno dosyć tego heroizmu! Dali wam dobrze w dupę i teraz prosicie o pracę na statkach!

Uradowani jego obecnością nie mieliśmy nawet za dużo siły i ochoty, żeby zaprotestować⁸. Postanowili bowiem wrócić do Francji, a przedostawszy się, ruszyli w kierunku Paryża, w poszukiwaniu swojego pułku. Przyłączyli się do innych polskich żołnierzy z różnych jednostek, którzy pociągami podążali na południe.

„Anglia miała nam pomóc w ich ewakuacji na Wyspy Brytyjskie, dokładnie tak

samo, jak za czasów ewakuacji Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego z Dunkierki.

[...] Po wielu dniach oczekiwania wreszcie na redzie pokazały się duże pasażerskie statki, mocno zakamuflowane i przerobione na transportowce wojskowe, które bez zwlekania zaczęły ładować naszych żołnierzy.

Wśród tych statków szybko rozpoznaliśmy nasz statek m/s «Sobieski», pomimo jego wojennego kamuflażu. Chcąc dostać się właśnie na ten statek, poczekaliśmy na kolejkę ładowanych na «Sobieskiego» i bez trudu weszliśmy na burtę. Przy trapie służbowym, na wachcie, stał jeden z kolegów z naszego kursu ze Szkoły Morskiej. Pozналиśmy się natychmiast i rzuciliśmy się sobie w ramiona! Przecież ostatnio żegnaliśmy się z nim w bazie w Plymouth, kiedy zaciągaliśmy się do wojska polskiego we Francji.

Tak to w ciągu jednego miesiąca po raz drugi już podróżowaliśmy z Francji do Anglii. Nasza pierwsza ewakuacja z Dunkierki zupełnie nie przypominała obecnej, z St. Jean de Luz. Pierwsza, na starym rybackim kutrze, po brzegi wypchanym chorymi i rannymi. W brudnych, pokrwawionych angielskich mundurach, niepewni co nas czeka na angielskiej ziemi. Druga, na pięknym statku pasażerskim i pomimo tysiąca żołnierzy, jednak w luksusowych kabinach naszych kolegów i w czystych polskich mundurach. Każdy z tych statków szedł daleko przez Atlantyk, samotnie i bez żadnego konwoju. Wreszcie 23 czerwca wylądowaliśmy w Szkocji⁹.

Dwa tygodnie później został uczniem Szkoły Morskiej w Southampton.

W sierpniu 1941 r. powrócił na s/s „Kościuszko” i był na nim praktykantem pokładowym, potem asystentem, a od marca 1945 r. – III oficerem.

Statek chodził głównie w tropikach, w konwojach transportując wojsko, a także uczestnicząc w konwoju inwazyjnym na Oceanie Indyjskim.

Szkolny kolega Eugeniusza Hrywniaka wspominał: „Polska brać wojskowa zasiadała do posiłku, jak zwykle wyklócając się o miejsca przy stołach i o porcje jadła. Na przednim pokładzie jeden z żołnierzy prowadził ożywioną dyskusję ze swoim sierżantem. Dyskusja przemieniła się w histerię: żołnierz zaczął tupać nogami, po czym wyciągał dokumenty

z kieszeni, podarł je w drobny mak i wyrzucił je za burtę. Zanim sam skoczył za nimi, zdążył jeszcze krzyknąć, że ma wszystko «w dupie» i jeszcze splunął w kierunku zdumionego sierżanta oraz pobliskich kibiców. Alarm człowiek za burtą! Kpt. Strzembosz [abs. WN z 1926] śmignął telegrafem: maszyna stop i nakazał zrobić alarm szalupowy. Młodszy oficer Hrywniak i bosman Kierszke zorganizowali opuszczenie szalupy i wraz z wiosłarzami pognali jak wariaci w kierunku żołnierza. Pomimo wyskoku w wodę ze statku idącego pełną parą, on nie utonął, ale rękami chlapał po fali. Gdy szalupa zbliżyła się do «topielca», wiosłarze złożyli wiosła na burtę i zabrali się do wyciągania żołnierza z wody. Ten jednak bronił się twardo, krzyząc, że ma dość «tego zasranego życia» i nadal wywijął się od ratujących go marynarzy. Trwało to kilka minut i w końcu Hrywniak się zniecierpliwił i huknął gromkim głosem: – Panie! Jak pana nie wyciągniemy, to rekiny pana zeżrą! Ot już widzę jednego!... Jak tylko niedoszły samobójca usłyszał, że rekin jest blisko, od razu przyszedł do siebie. Błady z przerażenia, sam pchał się do szalupy, tylko błagał marynarzy, aby szybciej go z wody wyciągali. Po powrocie na pokład statku, czarny od sińców żołnierz (od uderzenia o wodę, skacząc z kilometrowej wysokości) został przekazany swojemu sierżantowi. Przesiedział w ciupie karę za znieważenie podoficera oraz za utopienie swego tropikalnego hełmu¹⁰.

Pod koniec 1944 r. Eugeniusz Hrywniak wyjechał na urlop do RPA i ożenił się z obywatelką Południowej Afryki. W styczniu 1945 r. wrócił na „Kościuszkę”. W czerwcu 1945 r. ukończył kurs kapitański w Londynie i zwrócił się do dyrekcji GAL-u w Londynie o urzędową opinię w języku angielskim, potrzebną do przedstawienia Urzędowi Imigracyjnemu w RPA – gdzie pragnął się osiedlić.

„Po zmustrowaniu z s/s «Kościuszkę» 2 lipca 1945 roku pozostałem na stałe w Republice Południowej Afryki. Nie miałem po co wracać do Polski, bo mój dom rodzinny w okolicy Lwowa znalazł się na terytorium Rosji Sowieckiej. Miałem szczęście znalezienia pracy na czteromasztowym szkunerze s/v «Commodore II», słynnym z rekordów szybkości w przemierzaniu Pacyfiku.

Po zniszczeniach, jakich statek doznał w czasie ostatniego rejsu i sprzedaniu go



Uczniowie SM w Southampton, w marszu na niedzielne ćwiczenia wojskowe, wrzesień 1940 r., w pierwszym rzędzie od lewej: Walenty Milenuszkin, Gena Hrywniak i Józef Wojciechowski („Okólnik” 1989, nr 158, s. 2)



Zdjęcie z „Okólnika” 1991, nr 163, s. 1



s/v Commodore II



Fot. z książki B. Pogorzelskiego, op. dt., s. 117 i 133

przez właściciela, jeszcze przez kilka lat pływałem pod południowoafrykańską banderą. Niestety, kompanie okrętowe marnie płaciły, więc przerwaliśmy się na rybołówstwo. Przyjechał wtedy z Anglii kpt. Jerzy Świechowski [abs. WN z 1929] i razem szukaliśmy pracy. Nawiązaliśmy kontakt z firmą rybacką, która skierowała nas do Lamberts Bay, niewielkiej rybackiej wioski, na przeszkolenie.

Po prawie roku nauki łowienia przeróżnych ryb, w zależności od sezonu, wysłano nas do Luderitz w Namibii (wówczas Południowo-Zachodnia Afryka). Świechowski dostał pracę jako skiper, a ja, znając już lokalne języki, tj. niemiecki i trochę afrykańskiego, zostałem kierownikiem floty rybackiej. Wkrótce potem dołączyli do nas Bolek Chojnacki [abs. WN z 1934] i Władek Mażewski. Owego czasu skiperowi i załodze płacono tylko za złowione i dostarczone ryby. Toteż mniej doświadczeni szybko rezygnowali i szukali pracy gdzie indziej. Ja zostałem w Luderitz i, korzystając z nabytej praktyki, zaznajomiłem się z finansową stroną rybołówstwa i postanowiłem otworzyć własne przedsiębiorstwo rybackie w Luderitz, kupując na początku jeden czy dwa kutry. Kilka lat później firma posiadała już 10 kutrów. [...]

Moje przedsiębiorstwo z biegiem czasu szybko się rozwijało. Opuściłem wtedy Luderitz i z rodziną przenieśliśmy się do Walvis Bay.

Otworzyliśmy tam skład lin, sieci i różnego rodzaju sprzętu rybackiego. Walvis Bay to jedna z największych zatok i portów na zachodnim wybrzeżu Afryki. Dostawa i obsługa nie tylko kutrów rybackich, ale przeważnie dużych statków handlowych wiązała się z rozwojem naszego przedsiębiorstwa. Wkrótce sprzedaliśmy flotę i skoncentrowaliśmy się nad obsługą i dostawą tratw ratunkowych, sprzętu przeciwpożarowego oraz czyszczeniem i malowaniem statków¹¹. Przechodząc na emeryturę, kierowanie firmą powierzył synowi Markowi i przeprowadził się z żoną do Kapsztadu. „W naszym Kółku Morskim – pisał w 1993 r. z RPA do „Okólnika” o koledze Stanisław Bendorff (abs. WN z 1934) – mamy Genę Hrywniaka, który zaczął swe życie żeglarskie na «Darze Pomorza», a skończył edukację morską w Southampton. Wojował tu na «Kościszce» i tu po wojnie się osiedlił. Ożenił się, spłodził dwóch synów, a potem zakasał rękawy i zaczął tworzyć swoje imperium. Robił to w Afryce Zachodniej, w Walvis Bay. Ponieważ był robotny i miał smykałkę do interesów, «imperium» rośnie. Jak każdy

successful businessman 33 lata temu został członkiem organizacji Lions International, która niesie pomoc tym, którzy jej potrzebują i to tak na Genę wpłynęło, że zostawił synów w South West, jednego jako właściciela pewnie największej apteki na całym terytorium i drugiego, który przejął Geny liczne interesy, jak shipczandlerstwo, sklep z bronią czy obsługę morskich tratw ratowniczych. Gena przeniósł się z żoną do Cape Town i zaczął swą pracę charytatywną. Nie wiem, czy go ruszyło sumienie, bo mówi się, że ludzie interesów sumienia nie mają, czy też to, że latka mijają i zaczyna się myśleć, jak to tam precyzyjnie się przez tę bramę niebieską. Faktem jest, że Gena stał się naszą Mother Teresa w spodniach. To wcale nie żarty, bo to, co Gena robi, to trudno opisać tym, co tu nie mieszkają. Townships to są osiedla czarnych, ciągnące się kilometrami wokół Cape Town, zamieszkałe przez od bardzo porządnym do najgorszego rodzaju bandytów. Tam nawet policjanci giną prawie codziennie. Mnie nawet nie tylko niebieska, ale nawet złota brama nie skusiłaby, żeby się tam wybrać. Otóż Gena jeździ tam prawie codziennie. Ma ciężarówkę, na którą zbiera po supermarketach, piekarniach i innych instytucjach, które mają coś do zaoferowania, i zawozi to tam, gdzie jest ogromna bieda. Oczywiście znają go tam, ale o pomyłkę jest nietrudno. Można bardzo łatwo nie wrócić lub wylądować w szpitalu. Gena dziennie zbiera od jednej do trzech ton żywności. Ma wprawdzie jednego czy dwóch pomagierów, ale bardzo dużo sam robi fizycznie. Mimo swoich 75-ciu latek, jest

w bardzo dobrej formie i ma rączyny jak bochenki chleba. Podobno nawet zdarzyło mu się, że dostał trochę wycisku. Jego wyczyny są następujące: zorganizował cztery «soup kitchens» dla niedożywionych dzieci szkolnych, czarnych i kolorowych. Tam karmi 1300 dzieci trzy razy w tygodniu. W soboty, z pomocą ochotników, robi 160 10-kilowych paczek żywnościowych dla biednych rodzin. Stale zaopatruje w żywność pewne sierocińce, domy starców i rodziny, które głównie na nim polegają w utrzymaniu swej egzystencji. Za to, co robi, uzyskał dużo uznania i odznaczenia od Lions. Kłopot jego polega teraz na tym, że nie może znaleźć zastępcy. Nikt się tej niebezpiecznej roboty nie chce podjąć, a to jest 6 dni w tygodniu od lat. Jak on to robi w swoim wieku, nie mam pojęcia. Dla tych, co go znają, muszę dodać, że dużo się nie zmienił. Namiętnie gra w bridga¹².

Utrzymywał serdeczne kontakty ze swoimi siostrami (które go w 1945 r. poszukiwały poprzez londyński GAL). Pisał w 1996 r. do „Okólnika”: „Goszczę u siebie siostrę najstarszą z Polski, z Bytomia. Staram się ją namówić na pozostanie tu przynajmniej na 6 miesięcy, aby uniknąć polskiej zimy. Aby przywitać mego tak ważnego gościa, zaprosiłem garstkę przyjaciół i znajomych tutejszej Polonii na «baai»...”¹³.

W 2008 r. pomógł Bolesławowi Pogorzelskiemu (abs. WN z 1941) wydać w Cape Town książkę pt. „Przyszłość bez jutra”, opisywającą wojnę i banicję chłopców z ostatniego przedwojennego rejsu ćwiczebnego Białej Fregaty.

Zmarł 27 listopada 2014 r. w wieku 96 lat.

Źródła: *Kadry morskie Rzeczypospolitej*, tom I, pod red. Jana Kazimierza Sawickiego, wyd. II, Gdynia 2000; Wadim Konstanty Taniewski-Elliott, *Spis personelu zatrudnionego na statkach Polskiej Marynarki Handlowej w latach 1939-1945*, Gdańsk 1981; Józef Miłobędzki, *Polskie szkolnictwo morskie w Wielkiej Brytanii podczas II wojny światowej*, Gdynia 1980, na prawach rękopisu; Jan Kazimierz Sawicki, *Polska Marynarka Handlowa 1939-1945*, Zbiór studiów, tom II, Gdynia 2021; londyńskie „Okólniki”, „Echo Morza” 2016, nr 24.

1 Eugeniusz Hrywniak, *Kanonier z cenzusem na krwawych piaskach Dunkierki*, [w:] Bolesław Pogorzelski, *Przyszłość bez jutra. Wojna i banicja chłopców Białej Fregaty*, Cape Town, 2008, s. 24-25.

2 Bolesław Pogorzelski, op. cit., s. 24.

3 Eugeniusz Hrywniak, *Kanonier z cenzusem na krwawych piaskach Dunkierki*, [w:] Bolesław Pogorzelski, *Przyszłość bez jutra. Wojna i banicja chłopców Białej Fregaty*, Cape Town, 2008, s. 25.

4 Ibidem, s. 26.

5 Ibidem, s. 27.

6 Ibidem, s. 27-28.

7 Ibidem, s. 29.

8 Ibidem.

9 Ibidem, s. 31.

10 Bolesław Pogorzelski, *Żołnierz za burtą*, „Okólnik” 1982, nr 146, s. 33-34.

11 *Gena Hrywniak wybiera swą przyszłość w Namibii*, [w:] Bolesław Pogorzelski, *Przyszłość bez jutra*, op. cit. s. 133.

12 „Okólnik” 1993, nr 167, s. 44.

13 „Okólnik” 1997, nr 173, s. 31.